

UPAŁ - Langwedocja, Prowansja, Lazurowe Wybrzeże

Wokół Europy w poszukiwaniu odpowiedniej pogody

Po długiej i mroźnej zimie marzyliśmy o słońcu. Zastanawialiśmy się, gdzie można pojechać motocyklem, aby nie narazić się na reumatyzm, lecz przeciwnie, wygrzać na słońeczku nasze stare kości. Pomysł spędzenia tegorocznego urlopu na południu Francji podsunęła nam lektura książki Petera Mayle'a "Rok w Prowansji". Autor tak sugestywnie opisywał uroki tego regionu, że zapragnęliśmy udać się tam i zobaczyć wszystko na własne oczy. Tym razem planowaliśmy wyjazd z kilkoma znajomymi motocyklistami. Niestety, termin, który wybraliśmy, początek czerwca, nie odpowiadał im i znowu wyruszyliśmy sami naszą Hondą Africą. Zaplanowany na pierwszy dzień wyprawy (nie licząc przejazdu przez Polskę) szybki przejazd autostradami przez Niemcy w rzeczywistości nie okazał się taki szybki, gdyż 20-kilometrowe korki można było mijać z prędkością nie przekraczającą 20 km/h, nawet jeżeli większość kierowców ustawiała się tak, aby przepuścić motocykl. Było bardzo ciepło i zdecydowaliśmy się skrócić odcinek podróży przewidziany na ten dzień.

Po przejechaniu Bawarii, gdzie w schroniskach młodzieżowych nie przyjmują starców (nawet młodych duchem), wjechaliśmy na teren Badenii-Wirtembergii, gdzie nie ma takich agistowskich uprzedzeń, i skręciliśmy do pierwszego zaznaczonego na mapie schroniska w Kirchberg. Na wysokim wzgórzu wznosił się zamek, którego mury otaczały malutkie miasteczko. Po wąskich uliczkach łąziły koty, a na pustym rynku stało kilka stolików, przy których można się było napić piwa lub prawdziwego reńskiego wina. Z restauracji w zamkowej wieży roztaczał się piękny widok na okolicę, gdzie na kilku sąsiednich wzgórzach też były zamki.

Postanowiliśmy zrezygnować z autostrad i powłóczyć się trochę po tym regionie. W przewodniku znaleźliśmy informację, że kolejne schronisko młodzieżowe znajduje się w jednym z tutejszych zamków i zdecydowaliśmy, że tam spędzimy kolejną noc. Dobudowany do średniowiecznej wieży, neogotycki zamek w Ottenbergu stoi na wzgórzu porośniętym winnymi krzewami. Splendoru dodają mu świetnie zachowane wnętrza - szerokie schody, kasetonowe sufity, dębowe posadzki i marmurowe kominki. Myślę, że

podobny obiekt w Polsce zostałyby przeznaczony na muzeum lub luksusowy hotel, a nie miejsce, gdzie zatrzymują się wycieczki szkolne w drodze do pobliskiego lunaparku. Zabytkowy charakter zamku podkreślają też wiszące na ścianach w ciężkich drewnianych ramach obrazy dawnych mistrzów, które z bliska okazują się kopiami ułożonymi z puzzli. Świetny pomysł, zabawny, podziwiać należy jedynie wytrwałość osób układających te łamigłówki.



Gdzies na trasie



Jura francuska

W drodze do Francji odwiedziliśmy firmowy sklep motocyklowy Louis'a w Karlsruhe, gdzie przeżyliśmy duże rozczarowanie. Niewiele większy wybór akcesoriów niż u nas, a ceny wyższe lub porównywalne. Przejeżdżamy graniczny Ren i przez południową Alzację jedziemy do Jury, stanowiącej przedmurze Alp. W dalszym ciągu omijamy autostrady, które we Francji nie są tanie, a zwykłe drogi, o świetnej nawierzchni, pozostają prawie puste. Zaskakuje nas, że prawie wszystkie skrzyżowania, również poza terenem zabudowanym, mają formę ronda. Zmniejsza to prędkość podróży, ale zdecydowanie poprawia bezpieczeństwo. Widoki stają się coraz ładniejsze, góry coraz wyższe i po przejechaniu wielu zakrętów, z tego połowa nad przepaściami, docieramy do schroniska w malowniczej dolinie koło Les Rousses.

Spotykamy tam parę Anglików w naszym wieku, którzy przyjechali tu na swoim AJS z 1948 roku. Motocykl ciągnie za sobą przyczepę zrobioną ze starego kufra (prawdziwego, nie motocyklowego). Wygląda to kapitalnie i podobno nie utrudnia prowadzenia. Anglicy byli bardzo zdziwieni naszym widokiem, bo kilka lat temu byli parę dni w Polsce i nie widzieli żadnych motocyklistów, a znajoma Polka powiedziała im, że u nas nie jeździ się turystycznie na motorach. Pytali, czy jesteśmy jedynymi motocyklistami w kraju! Bardzo przydał nam się dzień odpoczynku na zrobienie prania i krótką wycieczkę po górach. Idąc przez las, usłyszeliśmy dziwne dźwięki. Na polanie pełnej wielobarwnych kwiatów pasły się krowy, z których każda miała zawieszony na szyi duży dzwonek. Hałas, jaki robi takie stado słychać z odległości kilometra. Następnym etapem naszej podróży jest Langwedocja, czyli okolice Carcassonne. Podążamy tam okrężną drogą przez Masyw Centralny.

Łagodnymi zboczami podjeżdżamy w górę, następnie długi odcinek prawie płaskiej drogi grzbietami gór, a potem niespodziewanie skały, przepaści i serpentyny, którymi zjeżdżamy w dół. Czerwono-fioletowy kolor skał i ziemi kontrastuje z ciemno zielonymi cyprysami i ogromną ilością kwitnących na żółto krzewów. Zupełnie inna roślinność niż w Polsce uświadamia nam, że znajdujemy w innej strefie klimatycznej. Inne są też uprawy na polach. Zamiast żyta i ziemniaków, jak okiem sięgnąć, rozciągają się winnice. Aż niemożliwe wydaje się, aby ludzie byli w stanie wypić tyle wina. Uważamy za swój obowiązek przyczynić się do dobrobytu mieszkańców tej pięknej krainy i kupujemy dwie butelki na kolację. Zatrzymujemy się w małym miasteczku Puicheric, 26 km od Carcassonne. Tym razem hostel jest w starej plebanii i z okna widzimy wieżę romańskiego kościoła. Kościół jest co prawda nieczynny, ale zegar na wieży chodzi punktualnie i co pół

godziny wybija czas (również w nocy). We Francji we wszystkich miejscowościach są zegary na wieżach kościelnych, bijące godziny i nikomu to nie przeszkadza. Przypomniały mi się pisma z protestami mieszkańców naszej parafii, gdy proboszcz po remoncie dzwonnicy zaczął dzwonić raz dziennie o godz. 18.00.



Masyw Centralny

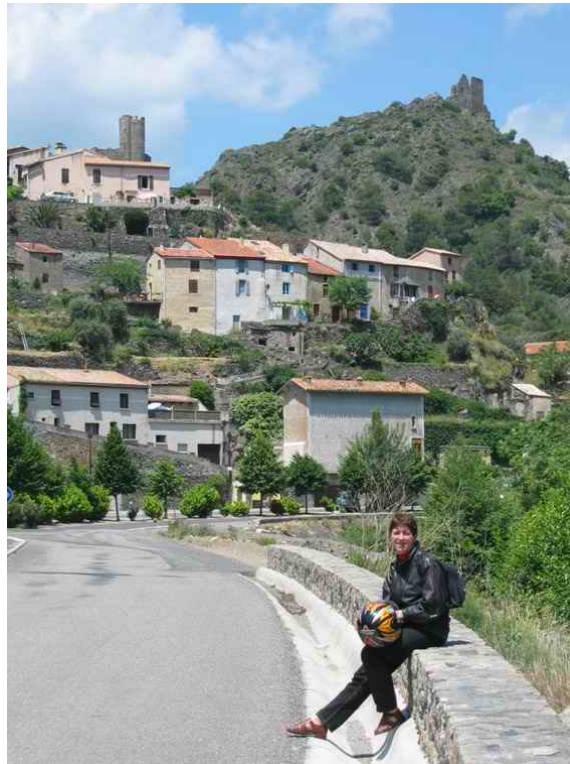


Carcassonne

Kolejne dwa dni postanawiamy poświęcić na badanie tajemnic średniowiecza. Okolica jest do tego wymarzona. Mnóstwo tu zamków, starych opactw, miasteczek o wąskich uliczkach i kamiennych domach, niezmiennych od wieków.

Zaczynamy od zwiedzania twierdzy w Carcassonne. Niektórzy historycy krytykują XIX-wieczną renowację obiektu, ale na nas baszty i mury zrobiły imponujące wrażenie i to

pomimo wszechobecnych sklepów z pamiątkami. Mieliśmy ponadto niesamowite szczęście. Wstęp do wszelkich obiektów turystycznych jest płatny i to dość słono, ale tego dnia ogłoszono strajk przewodników wycieczek i w ramach tego strajku oprowadzali oni wszystkich turystów za darmo. W pełni popieramy takie działanie!



Ruiny w Lastours na dole



Ruiny w Lastours na górze

W Carcassonne zetknęliśmy się po raz pierwszy z historią katarów, sekty, która w średniowieczu miała duże wpływy na tym terenie.

Jednym z podstawowych założeń ich religii było, że świat jest zły i beznadziejny, a ponieważ głosili to w krainie gdzie wino leje się strumieniem, a przyroda obezwładnia swoim przepychem, więc uważam, że papież słusznie uznał to za herezję i nasał na nich Inkwizycję. Może tylko niekoniecznie trzeba ich było od razu palić na stosie.... Zostały po nich zamki na niedostępnych górach, gdzie próbowali się chronić. Ruiny czterech z nich znajdują się w Lastours, 15 km na północ od Carcassonne. Kosztem dużego wysiłku i 4 Euro można się wdrapać na górę, aby je zwiedzić.



Opactwo Fontfroide



Tak wyglądają drogi lokalne

Z historią katarów związane są też opactwa w Cannes-Minervois i Fontfroide, gdzie skupiali się wierni kościołowi katolickiemu i skąd wyruszały wyprawy przeciw katarom. Przepiękne jest zwłaszcza stare opactwo cystersów w Fontfroide, z malowniczymi krużgankami, wieżami, wirydarzami.

Od początku XX wieku, gdy opuścili je ostatni zakonnicy, jest w prywatnych rękach, udostępnione do zwiedzania. W części opactwa znajduje się studio nagrań, ze względu na niesamowitą akustykę tych pomieszczeń.



Kanał Midi



Płatany przy kanale Midi

Nasze drogi po Langwedocji często prowadziły wzdłuż kanału Midi, niezwykle interesującego dzieła ludzkiej pasji i geniuszu. Pomysł wybudowania 240 km kanału, łączącego, przez rzekę Garonnę, Morze Śródziemne z Oceanem Atlantyckim, powstał w XVII wieku w głowie urzędnika podatkowego, pochodzącego z Puicheric. Udało mu się zachęcić do tego przedsięwzięcia króla Ludwika XIV, ale i tak podobno stracił na tym cały swój majątek. Tym niemniej, osiągnął swój cel i kanał, ocieniony po obu stronach szpalerem platanów jest do dziś używany, choć jego rola handlowa ustąpiła miejsca turystycznej.



Skrzyżowanie na kanale Midi

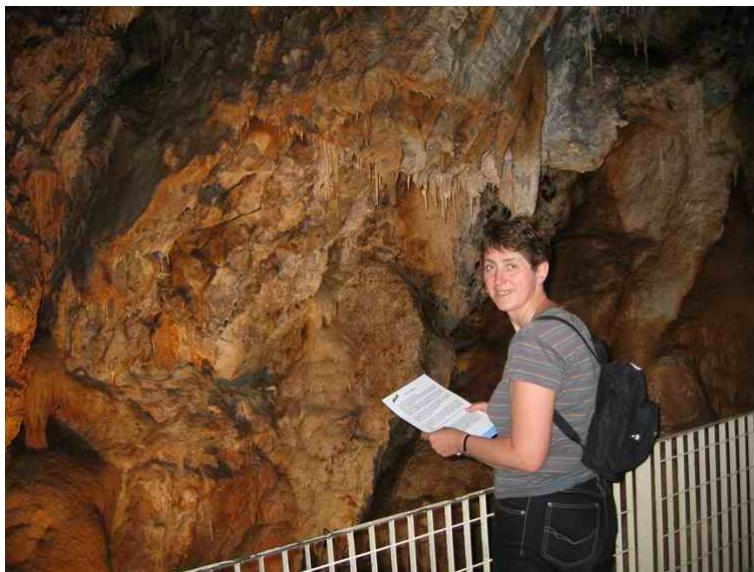


Sete, tu też byliśmy

Nam najbardziej podobało się miejsce, znane z filmu z Louis de Funes, gdzie kanał przechodzi nad małą rzeczką, tworząc dość niezwykle dwupoziomowe skrzyżowanie szlaków wodnych.



W drodze do jaskini de Cabrespne



Jaskinia de Cabrespne

Nie tylko dzieła rąk ludzkich zachwyciły nas w Langwedocji. Równie imponujące są tam dzieła przyrody, wśród nich wspaniałe grotty. My zwiedziliśmy jaskinię Gouffre Geant de Cabrespine, która ma podobno największą kubaturę w Europie, a jej wysokość wynosi ok. 300 metrów, czyli więcej niż wieża Eiffla. Zwiedza się ją ze sztucznego balkonu, umieszczonego na 2/3 wysokości. Podjazd do wejścia do jaskini jest bardzo stromy.

Pierwszy raz widziałam znak ostrzegający o kącie nachylenia jezdni 18%. Mimo to nasza Africa dzielnie wdrapała się na górę i mogliśmy podziwiać różnorodne stalaktyty i stalagmity.

Z Langwedocją żegnamy się w Aigues Mortes, które jest miniaturą Carcassonne. To średniowieczne miasteczko, otoczone wspaniałymi murami, stanowiło dla Ludwika Pobożnego bazę do wypraw krzyżowych. Wjeżdżamy w deltę Rodanu czyli do Camargue. Błota, bagna, trzciny, dużo wody. Rozczarowaliśmy się. Nawet stado flamingów w jednej z płytkich sadzawek, gdzie uprawiany jest ryż, nie zmieniło naszej opinii o tej okolicy.



Koloseum w Nimes



Arena w Koloseum

Jedziemy do Prowansji. Patrząc na mapę wymyśliśmy, że niezłym miejscem na kolejny nocleg byłoby miasteczko St Giles. Nieduże, położone centralnie w stosunku do kilku miejsc, które chcieliśmy zobaczyć. Wybór okazuje się wyjątkowo trafny. Nie tylko znajdujemy tu uroczy, mały hotelik, gdzie dwuosobowy pokój z łazienką kosztuje tylko 26 , ale jeszcze okazuje się, że jest tu romański kościół z pięknym, bogato rzeźbionym portalem i kilka innych zabytków.

W St Giles mamy okazję zobaczyć prawdziwy prowansalski targ, odbywający się tu raz w tygodniu na, zamkniętym wtedy dla ruchu, centralnym placu. Skuszeni przystępną ceną, jemy w restauracji typowy francuski obiad, składający się z 4 dań, czyli przystawki, dania głównego, serów i deseru oraz, oczywiście, towarzyszącego obiadowi świetnego, lokalnego wina.

Z St Giles robimy kilka wycieczek po okolicy, tym razem głównie szukając śladów rzymskich. W końcu nazwa Prowansja oznacza po prostu prowincję rzymską. Zwiedzamy Nimes z małą rzymską świątynią, otoczoną kolumnami i ogromną areną z amfiteatrem z początku naszej ery. Arena, niewiele mniejsza od Koloseum w Rzymie, jest chyba nawet lepiej zachowana i do dziś organizowane są tam różne imprezy. Poprzedniego dnia odbywała się tam corrida. Gdy delectowaliśmy się antyczną architekturą, uciekając przed upałem w zacienione korytarze, usłyszeliśmy straszne hałasy, bicie bębnów, krzyki. Nie byli to jednak gladiatorzy, ani pożerani przez lwy chrześcijanie, lecz manifestujący wokół areny przedstawiciele związków zawodowych.

Ze względu na naszą słabą znajomość francuskiego, nie wiemy o co im chodziło, ale domagali się tego bardzo głośno. Z pewną trudnością udało nam się wydostać z miasta i pojechaliśmy 20 km na północ aby zobaczyć jeden z najstynniejszych mostów na świecie - Pont du Gard. Zbudowany przez Rzymian, łączył funkcję mostu i akweduktu. Upływ czasu nie zdołał mu zaszkodzić. Do dziś zachwyca swoją proporcją, kształtem i wielkością.



Wspaniały Pont du Gard



Jeszcze raz Pont du Gard

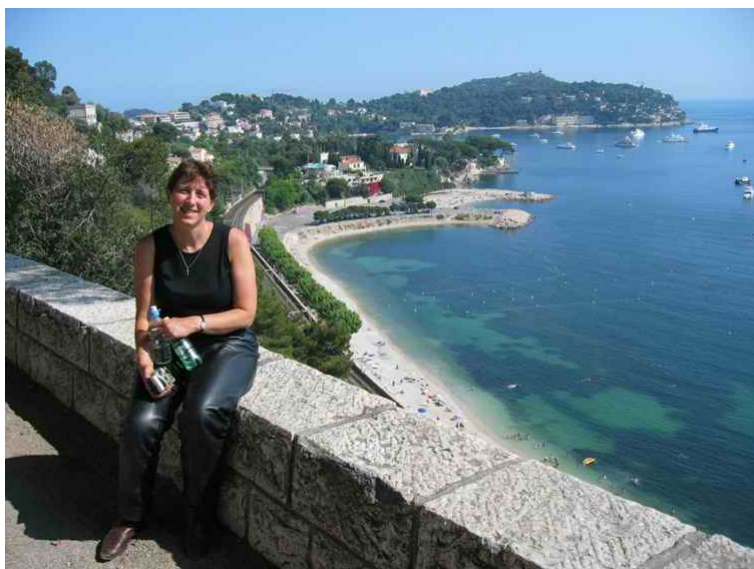
W poszukiwaniu śladów rzymskiej historii dotarliśmy też do miasteczka St Remy w pobliżu pasma gór Alpilles, gdzie odkryto ruiny rzymskiego miasta Glanum. Spacerując wśród resztek murów i kolumn, po liczących 2000 lat chodnikach, można sobie łatwo wyobrazić jak to miejsce wyglądało przed wiekami. W St Remy tworzył swoje arcydzieła Vincent van Gogh, który przebywał tam kilka lat na leczeniu w działającej do dziś klinice psychiatrycznej w dawnym klasztorze St Paul de Masole. Patrząc na wzgórza wokół tego miejsca, widzimy malowane przez artystę krajobrazy i zaczynamy lepiej rozumieć jego sztukę. Wąskie liście drzew oliwkowych, gałązki cyprysów, trawy, a nawet płatki słoneczników wyglądają z pewnej odległości jakby się składały tylko z kresek. Celem naszej następnej wycieczki jest Avignon. Monumentalny pałac papieża, ciekawszy z

zewnątrz niż wewnątrz, góruje nad rozległym placem, dochodzącym prawie do brzegu Rodanu. Można z niego zejść na drugi znany most w tej części Francji - Pont d'Avignon. Słynie on z tego, że sięga tylko do połowy rzeki i że "...tańczą panowie, tańczą panie na moście w Avignon". Nam się tańczyć nie chciało, upał był ze 40°C i marzyliśmy tylko, aby schować się gdzieś w cieniu. Prawdopodobnie z powodu tego upału mój mąż odmówił dalszego zwiedzania zabytków antycznych i średniowiecznych, a zatem pojechaliśmy podziwiać dziką przyrodę. Najbliższe co udało nam się zobaczyć, to kanion rzeki Verdon. Droga prowadzi nad 700-metrową przepaścią, gdzie w dole płynie sobie rzeka. Widok zapiera dech w piersi i jeży włosy na głowie, a jeżeli doda się do tego ostre zakręty i dość duży ruch, emocji starczy na dłuższy czas.

Ponieważ upał nie miał zamiaru ustąpić, postanowiliśmy uciec nad morze. W drodze do St Raphael zdecydowaliśmy się na drobny remont naszej maszyny, to znaczy wymianę przedniej opony, gdyż stara coraz mocniej schodkowała, a od upału zaczęła dodatkowo pękać. Mimo to, nie chciałoby nam się pewnie szukać odpowiedniego warsztatu, ale przypadek sprawił, że przejeżdżając przez jakieś miasteczko zobaczyliśmy duży zakład, przed którym stały motory i leżały opony, więc postanowiliśmy spróbować. Cała operacja trwała ok. 20 minut, a zachwyciła nas fachowość i precyzja obsługi. Koszt niewiele wyższy niż w Polsce za usługę ekspresową. Jedziemy wśród niekończących się pól lawendy. Francuzi uprawiają tutaj tylko to, co jest im bezpośrednio potrzebne do szczęśliwego życia - trochę pszenicy na bagietki, mnóstwo winnej latorośli na wino i lawendę na perfumy. Oliwa podobno chroni przed kaczem, więc od czasu do czasu pojawiają się też gaje oliwne.



Kanion rzeki Verdon



Lazurowe Wybrzeże, upał jak cholera

Dojeżdżamy do St Raphael. Palmy, morze, małe piaszczyste plaże w skalnych zatoczkach. Wymarzone miejsce na wakacje, ale dla osób trochę zamożniejszych od nas. Patrząc na mapę zastanawialiśmy się dlaczego między St Raphael i Cannes jest tak mało miejscowości. W końcu to przecież Lazurowe Wybrzeże. Przejazd drogą nad samym morzem wyjaśnił nam tę zagadkę. Większa część drogi to półka wykuta w schodzącej prawie pionowo do morza, skale. Widoki są jednak tak piękne, że nawet ja zapomniałam o lęku wysokości. Czerwone skały, niesamowicie niebieskie morze i do tego zieleń roślin. Tak intensywnych kolorów nie spotyka się często. Jest to chyba najpiękniejszy fragment wybrzeża, nawet jeżeli nie bardzo przyjazny turystom.

Na zaspokajanie potrzeb zamożnych turystów nastawione jest za to wybrzeże między Cannes i Monte Carlo. Nie kończący się ciąg hoteli z jednej strony jezdni, a plaża na zmianę z portami jachtowymi, z drugiej. Można im się dokładnie przyjrzeć, bo korki i umieszczone co 50 metrów światła, uniemożliwiają szybką jazdę. Osiemdziesięciokilometrowy odcinek przejeżdżamy w 4 godziny w gigantycznym upale, którego nie łagodzi nawet wiatr od morza. Jesteśmy tak wykończeni, że rezygnujemy ze zdobycia fortuny w kasynie w Monte Carlo i jedziemy dalej do Menton. Udaje nam się znaleźć pokój w małym hotelu, bardzo blisko plaży.

Może, żeby nie psuć efektu, nie powinnam wspominać o tym, że pokój miał 2x2 metry, okno wychodziło na podwórze - studnię, a całość (przed sezonem) kosztowała 45 €, ale w końcu to najdroższy kawałek Europy. Ceny w hotelach z widokiem na morze są co

najmniej dwukrotnie wyższe. Te przyjemne okoliczności spowodowały, że chociaż kąpiel w morzu była cudowna, a spacer wzdłuż plaży urocze, zdecydowaliśmy się poszukać tych przyjemności tam, gdzie kilkudniowy pobyt nie zrujnuje nas całkowicie. Upał ciągle się nasilał, co spowodowało, że odrzuciliśmy wszelkie plany dalszego zwiedzania i zdecydowaliśmy się spędzić ostatnie dni urlopu w Chorwacji.

Przejazd autostradami przez północne Włochy pozostałby całkiem zapomniany, gdyby nie to, że przy prędkości ok. 120 km/h mieliśmy wrażenie, że ktoś postawił przed motocyklem piecyk z dmuchawą odkręconą na cały regulator. Pierwszy (i jedyny) raz zlekceważyliśmy wymogi bezpieczeństwa i po autostradzie jechaliśmy bez kurtek, z gołymi rękami.



To już Słowacja - Orawski Zamek

W Trieście tradycyjnie zgubiliśmy drogę i zamiast jechać na południe, na wyspę Krk, wylądowaliśmy na półwyspie Istria. Był to chyba kolejny pomyślny zbieg okoliczności, bo znaleźliśmy ładny pokój, z dużym zacienionym tarasem, blisko morza, za 20 € ze śniadaniem (za 2 osoby).

Podobno nawet jak na Chorwację jest to bardzo tanio. Spędziliśmy 3 dni na leniuchowaniu tak słodkim, jak miejscowe wino Prošek. Wracaliśmy przez Węgry i Słowację, podejmując

po drodze niewielkie próby zwiedzania kilku ciekawych miejsc na trasie, gdyż temperatura spadła do cudownych 25°C. Na ostatni nocleg zatrzymaliśmy się u podnóża Orawskiego Hradu i spędziliśmy miły, ciepły wieczór pijąc słowackie piwo na tarasie z widokiem na zamek. Granicę polską w Chyżnem przekraczaliśmy w pierwszym dniu kalendarzowego lata. W chwili gdy mijaliśmy posterunek celny zaczął padać deszcz.

Gdy jechaliśmy po naszych dziurach i koleinach (dlaczego nie ma ich nawet w Słowacji?) pierwszy raz od trzech tygodni zaczęło nam być zimno. Zziębnięci zatrzymaliśmy się w przydrożnym barku, aby się napić gorącej herbaty i usłyszeliśmy w wiadomościach radiowych, że na Kasprowym w nocy spadł śnieg. A na południu Europy szaleje fala upałów.

Czas trwania wycieczki: 20 dni

Długość trasy: 6 tys km

Koszt całkowity: 6 tys zł

Koszt noclegu w pokoju dwuosobowym: pensjonaty, hotele i Youth Hostels: 20-45 Euro